

GŁOS PRAWDY

TYGODNIK POLITYCZNO-SPOŁECZNY

Adres Redakcji „Głosu Prawdy” Szpitalna 1 m. 3 II p.; telefon 295-67.
Godziny przyjęć codziennie, prócz niedziel i świąt od godz. 4 — 6.

Administracja czynna od 10 — 2 i od 4 — 6.

Rękopisów Redakcja nie zwraca.

Rok II.

WARSZAWA, DNIA 20 GRUDNIA 1924.

Nr 67.

Z wzburzonych fal na stały ląd.

Z układu sił w klubach lewicy sejmowej wynika przodująca tej stronie Wysokiej Izby rola klubu Wyzwolenia t. j., według urzędowej nomenklatury, Z. P. S. L. Centrum lewego skrzydła parlamentu i zarazem najliczniejszy na niem klub, musi z logiki rzeczy odgrywać przodującą i decydującą rolę w taktyce całości lewicy. Nie może być bez jego czynnego udziału ani walki politycznej w szerszym stylu, ani zwycięstw — z chwilą gdy przestaje sprawnie funkcjonować to główne ogniwo łańcucha, jego ogniwa skrajne tracą wszelki ze sobą kontakt rzeczowy, następuje zjawisko, którego byliśmy świadkami ostatnimi czasy — lewica, jako całość, popada w stan rozprzeżenia. Jest to oczywiście atmosfera jaknajfatalniejsza dla jakiegokolwiek bądź pracy realnej, sprzyja ona bowiem porastaniu w pierze różnych koteryjek i mafijek istniejących w każdym klubie — cała energia poważnych i liczebnych klubów zostaje zaangażowana w walki i scysje wewnętrzne, wyborcy pozostawieni dobrej woli konkurentów politycznych, głos stronnictwa przestaje ważyć na szali wypadków, słowem marazm i likwidacja zdobytych pozycji na całej linii.

Licząc się tedy z przodującą w lewicy parlamentarnej rolą Wyzwolenia, nie można nie przywiązywać wielkiej wagi do porządku rzeczy w tym klubie istniejącym, do jego konsekwencji działania na zewnątrz i zrozumienia ciężącej na jego członkach odpowiedzialności wobec najbliższej, a i dalszej przy-

złości. Równoległe z temi postulatami w odniesieniu do całego klubu, z największą troską trzeba śledzić pracę jego kierownika. Stojąc na czele tronu lewicy jest on nie tylko *leaderem* najpoważniejszego klubu, lecz zarazem pierwszym reprezentantem lewicy całej — musi być zatem w całym szeregu najdonioślejszych zagadnień politycznych i społecznych natury państwowej inicjatorem koncepcji i rozwiązań łączących wszystkie lewicy kluby. Jeżeli w zasadzie *leader* klubu parlamentarnego musi być nie tylko dobrym organizatorem czy taktikiem partyjnym w skali własnego podwórka, lecz przede wszystkim mężem stanu, to wymagania te w nierównie wyższym stopniu odnoszą się do człowieka, na którego istniejący stan rzeczy nakłada odpowiedzialność przerastającą granice własnego stronnictwa. Zrozumienie tej aktualnej roli klubu Wyzwolenia w łonie lewicy wystarczy za wytłumaczenie gorzkich niespodzianek i nieporozumień, jakie w ostatnich miesiącach gotowała nam często ta strona izby parlamentarnej.

Od czasu ustąpienia z prezesury klubu Z. P. S. L. i w konsekwencji z jego szeregów, posła Thugutta, anarchja i bezwład świeciły w nim pełne triumfy. Na wzburzonych falach ścierających się grup i koncepcji nie mogła, rzecz prosta, ostać się żadną myśl twórcza, żaden celowy i solidarny wysiłek, żaden program. Szukanie prowizorycznych wyjść z sytuacji musiało z natury rzeczy demoralizująco działać zarówno na prowizorycznych elektów klubowych, na jego członków i na opinię publiczną. Słowem, stan ten musiał obniżyć powagę głosu Wyzwolenia, a przede wszystkim oderwać je od pełnienia roli władza i kierownika lewicy sejmowej. Został ponadto stracony czas faktycznej bezczynności sejmu, który mógł być z wielkim pożytkiem wykorzystany na pracę wewnątrz stronnictwa, zarówno w dziedzinie organizacyjnej jak i programowej.

Rzecz naturalna nie chodzi nam w tej chwili o wylewanie łez nad stratami bynajmniej nietragicznymi, bo do odrobienia łatwymi, a tylko o naukę na przyszłość i stwierdzenie z ulgą, że stan powyżej odmalowany należy do przeszłości. Kryzysy są jedną z zasadniczych cech życia, i nawet dobroczynnym jego nauczycielem, jeśli oczywiście ktoś umie i chce czerpać z niego naukę. Członkowie klubu, Z. P. S. L. odczuli dokładnie śliskie ścieżki rozbicia wewnętrznego i szkodliwość krótkowzroczności w rzeczach polityki, skłonnej przeoczyć wroga zasadniczego dla bliskich nieprzyjaciół, czy nawet tylko niedostatecznie powolnych sobie przyjaciół. Będzie rzeczą zbawienną, jeśli wyciągając pełne z tej nauki konsekwencje wyrzucą z pamięci reminiscencje dnia wczorajszego i wyrzawszy z podwórka partyjnego na szeroki świat, odczują swoje w nim miejsce, zadania, cele i pójdą energicznym krokiem ku ich wypełnieniu.

Ostatnie wybory władz klubowych wydają się być zapowiedzią szybkiej w tym kierunku rekonwalescencji Wyzwolenia, a nie można ani na chwilę spuszczać z oka tego zasadniczego faktu, że społeczeństwo znajdujące się w stanie tak ciężkiej depresji i wyczerpania nerwowego, jak nasze, pójdzie i pójdzie może tylko za silnymi, konsekwentnymi i rozumnymi przywódcami.

W. Stpiczyński.

T. zw. klęski socjalizmu.

I.

Czytając owacyjne artykuły, jakimi stronnictwa naszej prawicy witały niedawno w swej prasie wyniki wyborów angielskich, trudno było oprzeć się wrażeniu, że one właśnie odniosły zwycięstwo. Nie Baldwin, nie Chamberlain, nie Churchill, ale wierne szeregi wyznawców *Gazety Warszawskiej* i *Przeglądu Wszechpolskiego* wygrały wielką bitwę nad Tamizą.

Taka solidarna radość, taka niepodzielna duma satysfakcji ogarniała ramieniem tryumfującej wspólności sprawę konserwatyizmu wielkobrytańskiego z interesem polskiej zapleśniałej parafji!

To wspólne „polsko-angielskie” zwycięstwo miało być nie tylko grobem Stronnictwa Pracy, ale i oczywistą, ostateczną katastrofą socjalizmu.

Jak dalece zawodne są tego rodzaju „pożyczane sukcesy” — sukcesy *in patribus infidelium* — łatwo przekonać się z kosztów, jakie wypadłoby płacić naszej prawicy, gdyby przesłanek, którą stawia, roztoczyć konsekwentnie ponad wszystkimi epizodami scenarjusza europejskiego. Istotnie: skoro prawica polska zgłasza się do udziału w wyszkach wyborczych konserwatyizmu angielskiego, to słuszną będzie rzeczą, aby poniosła udział również w stratach pobratymczej prawicy niemieckiej, dla której ostatnie wybory do „Reichstagu” wypadły niezbyt fortunnie!

Nie dość na tem. Skoro stronnictwa, walczące o przywileje kapitału w Polsce, manifestują swą solidarność z czynnikami politycznymi, reprezentującymi obronę kapitalizmu w innych krajach, to czy manifestacja taka nie staje się najlepszym uzasadnieniem postulatu międzynarodowej solidarności żywiołów pracy? czy nie występuje, jako najwymowniejszy argument na rzecz socjalizmu?

II.

Pomijamy pytanie, czy bilans wyborów angielskich może naprawdę uchodzić za klęskę Stronnictwa Pracy, które wyniosło z nich przyrost całego miliona głosów, wyzbywając się je-

dnocześnie tej ciężkiej za rząd odpowiedzialności, która w obecnym układzie sił stawała się dla stronnictwa socjalistycznego brzemieniem zbyt wielkiem.

Interesuje nas pytanie inne, które uważamy za ważniejsze: czy porażkę tego lub owego stronnictwa socjalistycznego można utożsamiać z załamaniem się socjalizmu?

Jak pokazały świeżo wybory niemieckie, eksperymentu angielskiego nie można uogólniać i wysnutych zeń wniosków przenosić, jako horoskop, na tereny obce. Socjaliści niemieccy wyszli z kampanji wyborczej nie tylko z przyrostem głosów, ale i pokaźną zdobyczą mandatów.

Co więcej, w krajach dojrzałej kultury, w Danji i Szwecji zorganizowane partje socjalistyczne zyskały nie tylko mocne stanowisko w parlamencie, ale ujęły w ręce ster władzy państwowej. Czyż wolno na tej podstawie mówić o tryumfie socjalizmu w państwach skandynawskich?

Wniosek taki, oczywiście byłby dowolny. Ale w takim razie zgodzić się musimy i z tem, że cios, jaki w tym lub owym kraju spotkać mógł partję socjalistyczną, nie jest bynajmniej ciosem, godzącym w socjalizm, jako ideę społeczną i polityczną.

Partja, która w stosunku do idei, której służy, gra rolę narzędzia lub przewodnika, mogła uszczerbek ponieść właśnie wskutek tego, że była narzędziem niedość sprawnym, że nie służyła dość wiernie lub skutecznie, że nie odgadła głębszych potrzeb swego własnego kierunku. Wówczas porażka chwilowa, niosąc znamiona dalekie od znamion upadku, staje się — przeciwnie — przestrogą, budzącą samokrytycyzm i zapowiadającą odrodzenie.

Teza ta, jeśli chodzi o stosunki angielskie, tem żywszej nabiera wymowy, że zwycięstwo wyborcze przypadło tam wudziale temu właśnie stronnictwu zachowawczemu, któremu Wielka Brytania zawdzięcza swe dziejowe przeistoczenie z ustroju feudalnego w demokrację pracowniczą, nieustanny kładącą wysiłek w rozwiązanie zagadnień społecznych: poczynając od reformy ustaw karnych ku reformie prawa wyborczego; od praw co do ochrony pracy aż do reformy Kościoła Państwowego. Ta wielka przemiana odbywała się skroś etapy twardej, nieustępliwej walki klas. Ale, że walka ta była zarazem współpracą, o tem przekonać się może każdy, kto zechce przestudjować sumienną pracę Justyna Mac Carthy: „Historja Angliji w wieku XIX“.*)

(D. c. n.)

Jan Gromicz.

*) Ktoby zaś to cenne dzieło liberała angielskiego przyswoił w przekładzie piśmiennictwu polskiemu, ten, chociaż w części, unaoczniłby bezwstyd owego żebractwa duchowego, jakim jest strzępienie przez endecję frendzli ze sztandaru torysów dla pokrycia swojej programowej golizny.

Denuncjacja, jako system pracy gen. Zagórskiego.

Dokument stwierdzający denuncjację ze strony gen. Zagórskiego wobec Generala Gubernatorstwa niemieckiego, w sierpniu 1917 r., oficerów legionowych przebywających z żołnierzami w obozie Szczypiorna (*Głos Prawdy* № 64) nie daje jeszcze dostatecznego obrazu działalności tego wysłannika austriackiej K.-Stelle do Legionów. Jest on tylko fragmentem i niejako epilogiem obfitej w rewelacyjne epizody jego kariery czasów wojny, u progu której mamy do czynienia z niesłychanie dobitnym faktem denuncjacji, której celem było zaprowadzenie na szubiecę dwóch polaków, oficerów armji austriackiej.

Sprawa miała następujący przebieg. Kpt. austriackiemu Włodzimierzowi Ostoi-Zagórskiemu ze względów osobistych nie podobali się dwaj oficerowie: Mróz i Jasiński. Celem pozbycia się konkurentów p. kapitan wysłał do A. O. K. (Naczelną Komendą Armji) pod datą 30.IX.1914 raport służbowy z doniesieniem, że Mróz i Jasiński, jako oficerowie austriacy uprawiają szpiegostwo na rzecz Rosji. Rzecz naturalna, że w czasie wojny sprawy szpiegowskie, a zwłaszcza gdy chodzi o oficera, karane są śmiercią — celem więc doniesienia było pozbawienie wymienionych w nim oficerów życia. W odpowiedzi na raport kpt. Zagórskiego obydwaj zadenuncjonowani zostali aresztowani pod zarzutem szpiegostwa i oddani w ręce władz sądowych. Dnia 15.XII.1914 kpt. Zagórski, wezwany do złożenia zeznań, potwierdził treść swego doniesienia. Tymczasem śledztwo sądowe, po za zeznaniami Zagórskiego, nie dało pozytywnych rezultatów, wobec czego starszy audytor w Morawskiej Ostrawie, gdzie toczyła się sprawa, dr. Zbigniew Hrechorowicz dla braku cech przestępstwa aktem G. Z. I. K. 276/14 zawiesił postępowanie sądowe przeciwko obydwu oficerom, podając w motywach, że „cała sprawa zdaje się polegać na zawiści zawodowej ze strony oskarżyciela — kpt. Zagórskiego“.

Rezultatem tej decyzji władzy sądowej było potwierdzenie Mroza i Jasińskiego przez A. O. K. w ich rangach wojskowych dekretem z dn. 27.III.1915 r. L. V. Bl. № 78.

Po otrzymaniu tej rehabilitacji poszkodowani wnieśli przeciwko kpt. Zagórskiemu do Nacz. Kom. Armji (A. O. K.) oskarżenie o oszczerstwo, w odpowiedzi na co otrzymali od A. O. K. pismo z dn. 25.V.1915 za № 8342 podpisane przez arcyksięcia Fryderyka, stwierdzające, iż przeciwko kapitanowi Zagórskiemu nie mogą być przedsięwzięte kroki ze strony urzędowej, ponieważ w tym wypadku działał on jako oficer K.-Stelle, do Legionów tylko przydzielony.

Zawdzięczając więc okoliczności, że był na służbie politycznej wywiadu A. O. K., p. Zagórski uniknął kary austri-

jackiego sądu za denuncjowanie oficerów, dodajemy, oficerów-polaków.

Zapytujemy p. Ministra Sikorskiego i sąd generalski czy może być oficerem W. P. notoryczny denuncjant Polaków wobec władz okupacyjnych, czy jest możliwa konsolidacja korpusu oficerskiego posiadającego w swoim gronie tego rodzaju ludzi, i czy można poważnie mówić o honorze munduru, jeśli nosi go spokojnie p. Włodzimierz Ostoja-Zagórski?

w. s.

Praworzędność p. Ratajskiego.

O nowym ministrze spraw wewnętrznych, p. Cyrylu Ratajskim tak mało jesteście poinformowani — nie występował on nigdy na szerszym polu działalności publicznej — że z największą uwagą staramy się poznać go bliżej z aktów ministerjalnej pracy. Już pierwszy krok zagadkowego ministra — wywiady dziennikarskie, wykazał całkowity u niego brak zmysłu politycznego i orientacji w najprostszych zagadnieniach organizacji i kompetencji naczelnych władz państwowych. Te, a zwłaszcza ostatni, braki p. Ratajskiego znajdowały później jaskrawy wyraz, kiedy to minister spraw wewnętrznych nie orientował się poprostu w zakresie władzy swego urzędu, prawach i kompetencjach szefa rządu, innych jego ministrów i wreszcie sejmu.

Wprawdzie fotel ministerjalny nie jest właściwym miejscem dla kandydatów nauki ustroju prawnego Rzeczypospolitej — tyle jednak oglądaliśmy dziwołagów, że i ten trzeba było znosić spokojnie, w oczekiwaniu promieni światła rozumu stanu nowego ministra, po okresie nauki prawideł rządzenia zajaśnić nam mających.

Tymczasem nauka idzie niezmiernie ciężko, uczeń okazuje całkowite lekceważenie dla kardynalnych podstaw praworzędności, i tego już dłużej przemilczać niesposób.

Przytoczymy tylko dwa przykłady z ostatnich dni, malujące dokładnie niebezpieczeństwo metod pracy p. Ratajskiego.

W ubiegłym tygodniu w jednym z hoteli warszawskich popełnił samobójstwo pułkownik X. Władze sądowe, występujące z urzędu w tej sprawie, dokonały, między innymi, opieczętowania prywatnego mieszkania (pokoju) zmarłego, jak każe ustawa, do dalszych zarządzeń sędziego pokoju. W dniu dokonania tego aktu urzędowego zgłosiła się u władz policyjnych i prokuratorskich rodzina zmarłego z prośbą zdjęcia pieczęci z mieszkania i rzecz naturalna, z uwagi na wieczorową porę, w czasie której odnośny sędzia pokoju nie urzędował, nie odniosła powodzenia. Atoli wkrótce po tej interwencji rodziny do komendanta policji Czyniowskiego zwrócił się telefonicznie p. Ratajski z rozkazem niezwłocznego zdjęcia pieczęci i oddania mieszkania rodzinie. Nie pomogły powoływania się na ustawę, niekompetencję policji i t. d. Minister zdecydował, że on tu jest interpretatorem prawa i żadne sądy nic go nie obchodzą. W tych warunkach komendant Czyniowski widział się zmuszonym rozkaz wykonać.

A teraz fakt następny, jeszcze drastyczniejszy. Sędzia śledczy Chodasiewicz wpadł na trop jaczki szpiegowskiej w ministerstwie spraw wewnętrznych i na podstawie dostatecznych ku temu danych aresztował referenta departamentu bezpieczeństwa Maksimczuka. Dalsze dochodzenia skłoniły sędziego do aresztowania, po porozumieniu z urzędem prokuratorskim, bliźkiego Maksimczuka przyjaciela, również referenta dep. bezpieczeństwa, Zaleskiego. P. Ratajski, który w tym właśnie czasie objął urzędowanie, wziął sobie za punkt honoru wyrwać Zaleskiego z rąk

sprawiedliwości. Wbrew tedy opinii sędziego śledczego, prokuratorów sądów: okręgowego i apelacyjnego p. Ratajski potrafił skłonić ministra sprawiedliwości Żychlińskiego do wydania władzom śledczym rozkazu zwolnienia z aresztu Zaleskiego. Epilog: wypuszczony na wolną stopę Zaleski uciekł, władze śledcze nie mogą ustalić obecnego miejsca jego pobytu.

Te dwa przykłady metod urzędowania p. Ratajskiego, miejmy nadzieję, zainteresują sejm i rząd.

Arogancy goście.

Demoralizacja natury ludzkiej w anormalnej atmosferze powojennej jest najpotężniejszym źródłem wysokiego napięcia nerwów w jakim żyją narody, przyczyną tej wielkiej niepewności wypełniającej pustkę wytworzoną przez tragiczny zgon moralnych podstaw życia zbiorowego: uczciwości, taktu, szlachetności, lojalności i wszelkiej sumienia człowieczego wartości. Utonęły w odmętach rozwydrzenia wszelkie szlachetne, a nawet i poprawne tylko prawa współżycia, zginęły zdrowe kryteria moralności, zasług i uprawnień — wytrych i pięść stały się legalnymi instrumentami w dążeniu do zdobywania sobie pozycji życiowej. Musiały też w tych warunkach stracić prawdę życiową piękne tradycje polskiej gościnności, tak poetycznie a zarazem wzniosłe witające w przekraczającym nasze progi gościu posłannika Bożkiej pamięci i łaski.

Niestety, wielokrotnie już w przeciągu paru lat gospodarowania we własnym domu danem nam było odczuć zmienność prawideł gościnności: za uprzejmość, kurtuazję i życzliwość płacono nam niejednokrotnie brutalstwem lub w najlepszym razie tanim bo obłudnym, faryzeuszowskim mentorstwem. Wielu z naszych gości zbyt mało subtelnie ocenili okazywaną im uprzejmość, a nawet czasem tylko tolerancję, porośli w pierze i poczęli rozdzielać nam pouczenia lub przygany i kułaki, w zależności z której i przeciwko której ze stron gospodarzy płyną aktualnie brzęczące zachęty. Korupcyjne srebrniki dzwiczące obecnie bezustannie nad Polską, jak ongiś kajdany okupantów, są magnesem ściągającym moralnie zwichnięte egzystencje i bodźcem pchającym je na najwynioślejsze szczyty bezeceństwa. Cóż za zjadliwa ironja dziejów! — cała potęga korupcyjnych srebrników bije dzisiaj właśnie w ludzi, wczoraj brzemię kajdan niepodzielnie dzwigających.

* * *

Byłoby świadectwem krańcowego niedołęstwa, wobec gości nazbyt w arogancji zapamiętałych udawać bezgraniczną kurtuazję, przyjmować od nich szturchańce i insynuacje z miłym uśmiechem, znamionującym głupca lub lisa, gotującego się do wymierzenia arogantowi skrytego ciosu. Kto nie gustuje w stra-

tegi tchórzów, dając pierwszeństwo rycerskim obyczajom otwartej walki, ten nie może cofnąć się przed przyjęciem jej, jeśli mu została w sposób dobitny wypowiedziana.

Wyzwanie takie rzucili ostatnio dwaj w Rzeczypospolitej Odrodzonej goście: dziennik francuski wychodzący w Warszawie—*Journal de Pologne* i p. Ignacy Rosner, naczelny publicysta *Kurjera Polskiego*. Niewątpliwie pomiędzy redaktorami francuskiego pisma i p. Rosnerem zachodzi różnica w stopniowaniu ich praw i przywilejów gości, co zresztą nie wpływa w sposób decydujący na obowiązki, jakie na nich charakter ich w polskim społeczeństwie nakłada — to raczej gospodarze tego domu muszą się liczyć z odcieniami tej różnicy i wyciągać stąd konsekwencji.

Dlatego też o *Journal de Pologne* krótko. Doceniając różnicę pomiędzy Francją, narodem francuskim, jego kulturą i intelektem, a poszczególnym nietaktownym Francuzem, możemy z całym spokojem o właściwe, gdzie należy, naszych intencji zrozumienie, dać wyraz krytycznym uwagom gromadzącym się od dawna pod adresem redaktora *Journal de Pologne*, pozbawionego zresztą jakichkolwiek bądź wpływów i powagi w społeczeństwie polskim. Nie może być, rzecz prosta, inaczej tam, gdzie przyjęty życzliwie gość, odrzucając uciążliwe dlań najwidoczniej granice taktu i dobrego wychowania, poczyna się między gospodarzy intrygi i rzucać insynuacje; gdy nie znając panujących w domu porządków i prawideł rządzących jego życiem, w sposób jaskawie złośliwy i brutalny usiłuje wyzyskać swe przywileje gościa dla wywarcia na jego bieg wpływów w duchu żądań jednego z członków goszczącej go rodziny. Dobrze by ryzykujący tego rodzaju hazard gość liczył się zawsze z jego konsekwencjami, z których najprawdopodobniejszą jest... pośpieszny spacer za drzwi.

P. redaktor *Journal de Pologne* wielokrotnie dał dowód braku zrozumienia swej roli w Polsce, potwierdzając w ostatnio zamieszczonym na łamach № 273 swego pisma artykule p. t. „Une armée nationale ou des Pretorienes“ obawy braku dostatecznej, na tak odpowiedzialne stanowisko, dozy taktu. Powtarzanie na łamach pisma rzekomo francuski rozum stanu reprezentującego bałamutnych i płaskich teoryjek Związku Ludowo-Narodowego na temat armji narodowej t. j. interesom obozu „narodowego“ wiernie służącej, jest pożałowania godnym nietaktem, i jawną chęcią podgryzania korzeni dębu polsko-francuskiej przyjaźni, opartej na solidarnie ożywiających obydwu narody tradycyjnych uczuciach wzajemnego szacunku i zaufania.

Nierównie wszelako gorzej wypada rachunek sumienia z p. Ignacym Rosnerem. Porozummy się. Kto przez całe życie na obcym płynąc okręcie do innego zmierzał portu, a w dniach listopadowych roku 1918, jako rozbitek, został przez

falę na polski wyrzucony pokład, wraz z pełnym workiem grzechów na plecach i sakwą moralnego żebraka w rękę — winien mieć na tyle jeszcze taktu i rzetelności, by odczuć przepaść dzielącą go od polskiego statku budowniczych i sterników. Niema siły zdolnej wymazać z kart historii przeszłość — ci, którzy wynieśli z niej ciężkie błędów kamienie, nie uwolnią się od nich nigdy, nie zdołają przerzucić ich na barki tych, którym historia przypięła skrzydła, by podniebnym lotem szymbowali ku nieśmiertelności. Każdy starzec nosi w sercu tęsknotę rozpoczynania na nowo życia od pierwszych dni złe zużytej młodości, i tak wielu dzisiejszych Polaków domaga się prawa rozpoczynania obrachunku swego życia od dnia 10 listopada r. 18. Niestety, pragnienia te, jak innych tyle, pozostaną w dziedzinie utopji. Grzechy mają tę nad zasługami przewagę, że towarzyszą swej ofierze aż do grobu, i jakże często piętnują jej imię na wieki. I dlatego niema dla nich zapomnienia, jest tylko okupienie — skromną, żarliwą, wytrwałą, szlachetną pracą resztek lat życia.

Worek grzechów p. Rosnera, pod dach polski przyniesiony, jest wielki, jeden może z większych, jakie zabłąkanych na śliskich ścieżkach kariery u obcych, a i u wrogów zarazem, obciążają. Człowiek, który do ostatnich dni trwania nad Polską przemocy okupantów zasiadał w stolicy na fotelu urzędowego przedstawiciela jednego z okupantów, doradzając swym mocodawcom, jako Polak — z imienia — w życiu swego narodu zorjentowany, najskuteczniejsze sposoby walki z nieugiętym i porywającym dusze rodaków żywym sztandarem niepodległości, Józefem Piłsudskim, ma więcej od wielu innych grzeszników powodów do ekspiacji, skromności, odczucia swej drażliwej sytuacji, nakazującej wielką oględność, a conajmniej przyzwoitość w, specjalnych uprawnień i cenzusu moralnego wymagającej, pracy publicystycznej. Służenie swemu narodowi radą jest służbą każdemu dostępną; udzielanie przygan i pochwał — przywilejem, ludziom pokutę czynić powinnym niedostępnym; sianie zaś intryg i snucie insynuacji jest poprostu występkiem, lub, jeśli posługują się niemi t. zw. słusznie młodo-Polacy z 11-go listopada, zbrodnią.

Zdawałoby się, że p. Rosnerowi, pozbawionemu bez reszty prawa do przywilejów, pozostaje jedynie wkroczyć na drogę twardej służby narodowej i trwać w niej aż do dni swoich i sił ostatka, budować w społeczeństwie fundamenty moralności, ideałów i waloru, brak którego sam w życiu najdotkliwiej odczuć musiał, a mianowicie: charakteru. I wydawało się, iż bliski był rozumienia tej dla siebie drogi, gdy z zażenowaniem i skromnością rozpoczynał u schyłku r. 18 pracę publicystyczną, gdy szukając dla siebie miejsca w Warszawie, w której położywszy się pewnego wieczoru spać jako dygnitarz austriacki, przebudził się rano w potoku rozbitków: bez

tytułu, rangi, orderów i wpływów, oceniał drażliwość swej sytuacji. Od tego czasu wiele się jednak zmieniło, p. Rosner zę skromnego publicysty stał się redaktorem (mniejsza o to w jaki sposób) *Kurjera Polskiego* i stąd już, w lot oceniwszy głębie mętów na powierzchni polskiego życia politycznego, rozpoczął coraz śmieiej zapuszczać w nie niewód swej wypróbowanej sztuki intrygi, wylawiając z nich coraz tłustsze i większe rybki. Dzisiaj jest już bezapelacyjnym sędzią i trybunałem orzekającym o patriotyzmie, prawomyślności i rozumie politycznym najzasłużeńszych mężów w narodzie, objął w bezsporne posiadanie prawo do zamieniania każdego wypowiedzianego przez się kłamstwa w niewzruszoną prawdę,—jeszcze krok, a okaże się, że Polskę, obok Dmowskiego, odbudował p. Ignacy Rosner. Ukazały się nawet w tym kierunku niejaki próby w postaci pierwszych rozdziałów pamiętnika, z niewiadomych przyczyn szybko zlikwidowane.

Rakieta fałszów i insynuacji wypuszczona przez p. Rosnera na łamy *Kurjera Polskiego* pod adresem Marszałka Piłsudskiego, gen. Sosnkowskiego i prasy przeciwstawiającej się projektowi ustawy o organizacji najwyższych władz wojskowych, wniesionemu do sejmu przez gen. Sikorskiego, jest szczytem przewrotności i arogancji, na jaką nie zdobywają się nawet przedstawiciele endecji, dla uniknięcia nieszczęścia powrotu Piłsudskiego do armji gotowej rzucić się w najgłębszy odmet absurdów i demagogji.

Nikt przecież nie postawił tak sprawy na głowie jak p. radca, gdy w № 330 swego pisma wyraża oburzenie: „Dziwnem też jest, że w dyskusji nad tą sprawą spotykamy u nas objawy tęsknoty za absolutystycznym systemem organizacji władz wojskowych, próby przesunięcia punktu ciężkości władzy istotnej z czynnika konstytucyjnie odpowiedzialnego na nieodpowiedzialny“, i nikt też nie osiągnął szczytu przewrotności, z jaką wytrwały, żarliwy że aż zabawny obrońca gen. Sikorskiego wynosi swego protektora nad poziomy, przez okradanie gen. Sosnkowskiego z zasług i czci, przez przekręcanie tekstu francuskich dekretów, przez kompromitujące figle logiczne i wreszcie hazardowne wysuwanie pułapek na mało uświadomionych w meritum sprawy czytelników, gdy z poważną miną proponuje: „Gdyby zaś opozycja przeciw projektowi urzędowemu nie chciała uznać, iż Marszałkowi Piłsudskiemu oddana być ma władza znacznie większą niż jego francuskiemu koledze, kontrpróba jest bardzo łatwa, przepisać poprostu w tym punkcie dekret francuski i zapytać opozycję czy go przyjmuje?“ Rzecz w tem, że propozycja tego rodzaju nie była i nie będzie uczynioną.

Całość artykułów p. Rosnera w tej sprawie jest dowodem bezwstydnego arogancji, wykwitającej z poczucia bezkarności

grzechów i nazbyt może zaawansowanej wiary w naiwność społeczeństwa, tolerującego spokojnie wiele w skutki brzemiennej anomalji, lecz, mniej nadzieje, nie bez końca.

W. Stpiczynski.

Blok „narodowy” wobec skarbu narodowego.

Po wielomiesięcznym badaniu sprawy odpowiedzialności b. ministra Przemysłu i Handlu oraz Skarbu w rządzie p. Witosa — Głabińskiego, p. Władysława Kucharskiego, specjalnie w tym celu ukonstytuowana komisja doszła do przekonania o konieczności pociągnięcia go do odpowiedzialności przed Trybunał Stanu. Referent komisji, wice-marszałek Moraczewski na posiedzeniu Izby w dniu 16 grudnia postawił w tej sprawie wniosek następującej treści: „Wysoki Sejm uchwalić raczy: oskarżyć przed Trybunałem Stanu byłego Ministra Przemysłu i Handlu, p. Władysława Kucharskiego, posła na Sejm, za to, iż przez swoje działania w czasie i zakresie swego urzędowania z własnej winy wyrządził Skarbowi Państwa szkodę w kwotach: 1) 2.517.684 fr. szw., 2) 429.674 fr. szw.“

W obszernem umotywowaniu tego wniosku referent streścił rezultat prac komisji, stwierdzający winę b. ministra za te straty przez Skarb poniesione, narzucający sejmowi konieczność uczynienia użytku z art. 59 Konstytucji, nadającego mu prawo pociągania ministrów do odpowiedzialności przed Trybunał Stanu.

Głosowanie nad tym wnioskiem dało następujące wyniki: za — 175, przeciw — 139, wstrzymujących się od głosowania — 32 posłów. Przeciw głosowały stronnictwa ósemki i część piastowców, białe kartki oddała reszta członków klubu Piasta.

To głosowanie jest wyraźnym i przekonującym sprawdzianem stosunku poszczególnych klubów do skarbu państwa. Dla stronnictw ósemki zmarnotrawienie około trzech milionów złotych grosza publicznego jest poprostu niewinną zabawką, nad którą nie warto się zastanawiać, nie mówiąc już o pociąganiu za to do odpowiedzialności winowajcy. Ba! gdyby jakiś kasjer pocztowy lub kolejowy stracił tysiąc złotych z kasy państwowej, cała prasa obozu „narodowego“ napiętnowałaby go najjaskrawszymi słowami, jako złodzieja i żądałaby dlań najsurowszej kary. I niema też sądu, któryby takiego szarego, maluczkiego przestępcy nie osadził w więzieniu na rok lub lata całe. Lecz, gdy członek tego obozu, jako minister, narazi Skarb na stratę milionów złotych, ta sama prasa niema słów dość świętego oburzenia na ludzi domagających się pociągnięcia go za to do konstytucyjnej odpowiedzialności. Logika tego

obozu w rzeczach uczciwości wydaje się opierać na prostej przesłance: strata skarbu, spowodowana przez naszego człowieka, jest cnotą, — złodziejstwem natomiast jest, jeśli skarb państwa pokrzywdzi człowiek, nic nas nieobchodzący. Ta zasada musi mieć głębokie uzasadnienie rzeczowe, jeśli człowiek, uważany za najczystsze wśród endeków — p. Stanisław Grabski, spożywa owoce szybkiego zubożenia się p. Kucharskiego, i, jako redaktor naczelny lwowskiego *Słowa Polskiego*, pobiera gażę redaktorską ze szkatuły organu tego wyłącznego właściciela... p. Wł. Kucharskiego. I jak tu mówić o bezstronności, rzetelności i odpowiedzialności ministrów ósemkowych?

w. s.

Niedopuszczalna samowola P. K. O.

Pocztowa Kasa Oszczędności rezesłała uczestnikom obrotu czekowego komunikat następującej treści:

„Od dnia 1 stycznia 1925 r. podnosi się:

1) wkładkę związkową w obrocie czekowym P. K. O. z 10 złotych na 50 złotych,

2) opłatę manipulacyjną w obrocie czekowym z 3 gr. na 5 gr., od każdej zapisanej pozycji*.

Nic więcej.

Przedewszystkiem uderza nonszalancja, z jaką instytucja publiczna, czerpiąca podstawy swej egzystencji z zaufania społeczeństwa, zwraca się do swoich wierzyteli i udziałowców. Wkładka z 10 zł. zostaje podniesiona na 50 zł., a więc o 400%; opłata manipulacyjna z 3 gr. na 5 gr., a więc omal o 70%, a Zarząd P. K. O. nie uważa za właściwe, w krótkich bodaj słowach, usprawiedliwić, umotywić, wyjaśnić tak niebywałego podniesienia ciężarów, nakładanych *iure caduco* na swych klientów.

Sprawa następna — zasadnicza — charakter i skutki nowego „*być po siemu*“ dyktatorów P. K. O.

W wydanym ostatnio przez tę instytucję spisie uczestników obrotu czekowego (zamkniętego dnia 30 czerwca 1923 r.), wydanym zresztą niechlujnie, bez załączenia chociażby statutu P. K. O., warunków zapisu, danych statystycznych dotyczących działalności, ilości „uczestników“ i t. d., i t. d... obejmującym 608 stron bitego druku, znajdujemy, że z usług P. K. O. w minimalnym tylko procencie korzystają wielkie instytucje przemysłowe, handlowe i finansowe, a natomiast obficie jest tu reprezentowany drobny handel i rzemiosło, instytucje naukowe, oświatowe, humanitarne, społeczne — słowem stan średni, war-

sztaty pracy intelektualnej i przystanie rozpaczliwej nędzy polskiej, groszowemi ofiarami publicznymi i samarytańskimi dłońmi szlachetnych obywateli od zagłady chronionej. To nie magnaci na kontaktach i w kasetach krajowych i zagranicznych banków olbrzymie sumy posiadający stoją w ogonkach do okienek P. K. O. i niepokoją p. Lindego swemi groszowemi i złotówkowemi wpłatami i czekami, to niszcząca inteligencja i jej gasnące reduty szukają w niej dostępnego pośrednika w tych transakcjach odrywania sobie od ust ostatnich groszy na drobną wkładkę do sierocińców, prenumeratę gazety, lub podtrzymanie nauki, wygnanej z magnackich antichambre'ów. To nie są też instytucje, dla których oddanie na wieczne czasy zarządowi P. K. O. do dyspozycji 50 ciu złotych, dla zrobienia mu przyjemności prowadzenia szerokiej polityki kredytowej, jest drobiazgiem niegodnym wspomnienia, i dla których podwyżka opłaty od każdej groszowej pozycji z 3-ch na 5 groszy niewinna stanowi fraszkę. Kto z milionów wyrobników umysłowych i fizycznych żyjących każdą drugą połowę miesiąca nadzieją na następną pensję może lokować swe oszczędności w instytucji, która najpierw każe mu oszczędzać 50 zł. t. j. 10 dolarów dla niej, a dopiero nadwyżkę dla jego własnych potrzeb? i która z setek instytucji dobroczynnych, oświatowych i naukowych, goniących zawsze ostatnią wydaną złotówkę, będzie mogła pocieszać się różową myślą, że jeśli z braku kilkudziesięciu złotych nie nakarmi przez parę dni dzieci, kalek lub starców i będzie musiała się zlikwidować, to wówczas p. Linde hojną ręką odda jej właśnie te pośmiertne 50 zł. wkładki — na stypę.

Ze stanowiska społecznego tedy ostatni manifest P. K. O. jest zwykłą zbrodnią.

Z prawnego punktu widzenia rzecz być może da się obronić kazuistycznym brzmieniem paragrafów statutu, lecz jeśli ktoś zechce doprowadzić prawo do absurdu, to dobrze jest pamiętać, że wówczas łatwo dojdziemy do takich absurdów, że np. wolno złodziejowi zostać dostojnikiem państwowym, bo tego żaden przepis prawa nie wzbrania, a właśnie niewolno o tem mówić, gdyż to jest obrazą dostojności, przez prawo bronionej. Nie można więc zasłaniać się suchym tekstem przepisów, tam gdzie są one tylko ramami wypełnianemi przez prawo moralne, tkwiące w sumieniach obywateli.

Jeżeli z jednej strony minister Skarbu i szef rządu obniża bankową stopę procentową od sum pożyczonych i czyni wielkie wysiłki dla ulżenia ciężkiej sytuacji finansowej społeczeństwa; jeżeli z drugiej strony społeczeństwo ponosi ze stoicyzmem olbrzymie ofiary dla przetrwania kryzysu i ratowania Skarbu państwa — P. K. O. jako instytucja państwowa niema moralnego tytułu do uprawiania lichwy, jaką niewątpliwie jest podnoszenie opłat manipulacyjnych o 70% i wkładek o 400%.

Trzeba też mieć nadzieję, że jest to tylko próba zamachu, która nie ujdzie oka rządu i że będzie przezeń radykalnie stłumiona.

w. s.

Strony ujemne i dodatnie.

Wszystko ma swoje strony ujemne i dodatnie. Oto stary, rudy kundel zachorował na łupież. Stary, rudy kundel, na krakauerowskim śmietniku wychowany, dotąd jeszcze lepkiem błotem krakauerowskiego podwórka cuchnący, nie mogąc połamanemi zębami ugryźć, ośliniał nam swoją obmierzłą śliną nasze nowe i stare nogawice.

I patrzcie państwo — Towarzystwo opieki nad Zwierzętami zamknęło go na pół roku w zakładzie dla małych zwierząt. Niech się wyleczy, albo zdechnie.

Ale czy to można wyleczyć takie zwierzę chore na łupież? Zęby mu się szpetnie połamały od rtęci, na wargach od śliny trującej porobiły się plugawe zajady. I to ma być niedawny Arystofanes Ateńczyk, Victor Hugo... Sahw...

Na miłość Boga, Arystofanesie, Victorze Hugo, Sahw'ie, coś ty ze siebie zrobił? Wszakże ty zdychasz na łupież..

I to jest strona ujemna.

Ale czytaliśmy twoje pożeganie, twoje ostatnie 606 epitetów, któremi, odchodząc w stan spoczynku, łaskawie obdarzyć raczyłeś pana Jędrzeja Moraczewskiego i tę twoją pocieszającą zapowiedź zmartwychwstania po dziesięciu latach w niemilczącym hałasie ulicznikowskich połajanek, które stanowią treść istotną i bogactwo niezrównane twego języka, Arystofanesie, Victorze Hugo Sahw'ie...

Otóż, mój Ateńczyku, po przeczytaniu twego pożegania, z nierozumnego przestachu przed jakąś ofensywą, która jakoby miała iść na ciebie, wówczas gdy wszyscy już o tobie zapomnieli, wynioskowałem że o ile w charakterze twoim, w sercu i honorze są tylko strony ujemne, o tyle we krwi znajdziesz same dodatnie. Każ więc sobie zrobić, mój Ateńczyku, wassermanowską analizę krwi, a rękę ci, że uzyskasz wynik dodatni.

A my tymczasem będziemy sobie w spokoju spacerowali po mieście, nie bojąc się o całość naszych nogawic.

Edward Słoński

„Przymierze serc”.

(*Juljan Kaden Bandrowski*: „PRZYMIERZE SERC”. Ignis 1925).

Nie chcę twierdzić, by dziś nowa książka w Polsce nie budziła wrzesań. Odnajdzie ona zawsze pewien zastęp miłośników piękna oraz dusz, czujących potrzebę tego wejścia w siebie, przejrzania treści swego dnia powszedniego, tego ujęcia w syntezę przemijających zjawisk i przeżyć, — które dać może tylko literatura — i ona jedna tylko. Mniemam jednak, że dzisiejszy nasz stosunek do literatury jest zamoło życzliwy, wnikliwy i serdeczny. Że w rozproszeniu uwagi pomiędzy różne dziedziny życia, zbyt mało jej poświęcamy zjawiskom kulturalnym w ogólności, nie posiadając w dostatecznej mierze tego współczującego entuzjazmu, bez którego twórczość jest samotną pracą w pustce, w gorszej od oporu atmosferze życzliwej obojętności, czy obojętnej życzliwości.

Praca twórcza Kadena-Bandrowskiego ma w sobie zbyt wiele krwi serdecznej, zbyt wiele powagi i szczerości wobec zagadnień życia, by wolno nam było życzliwą obojętnością ją zbywać. Jest to wszakże pisarz, z nas, z naszego pokolenia wyrosły, ściśle z nim spojony węzłami. Nie jest i nie powinien być odosobnionym — i twórczość jego winna uderzać w nas, jak w ścianę dzwonu, budząc milczące, drżemiące w nas głosy. „Przymierze serc” jest opowieścią z codziennego, powszedniego życia Legionów. Jest to książka niezwykła, która urosła z szarych, powszednich i zwyczajnych zdarzeń. Męska, pisana bez żadnej uczuciowej przesady. Mamy jej czasem w literaturze zbyt wiele i ona to sprawiać musi odchylenie się, odstręczenie od literatury ludzi, których postawa wobec życia jest twarda i prosta. Nie uciekamy od wzruszeń, lecz nie chcemy łatwych tu ani sztucznych egzaltacji. Ani sentymentalizm ani szeroki, nazbyt rozlewny polor uczucia nie są właściwościami naszego czasu.

Kaden-Bandrowski zdołał utrzymać ten ton męski i powściągliwy, którego brak nam w literaturze. Wszelki opisowy liryzm jest wzięty po za nawias, samemu sobie zabroniony. Wszelkie ułatwienia, jakie następcza możność mówienia „od siebie” — usunięte. Wszelki szczyt sztucznego bochaterstwa, uroczystej, pomnikowej pozy — sprowadzony do właściwej miary. — Zadał on sobie trud największy, bo najcięższą trudnością jest opowiedzieć uczucia kryjące się, nie wyrażone przez usta, które chcą miłczeć i swego cierpienia nie zdradzić ani nie okazać serdecznej słabości. Zarazem tylko to, co się wyraża po za słowami, po za chęcią, wbrew świadomości własnej, — to tylko jest prawdziwie rzetelne nie udane ani rozcieńczone liryzmem. Z milczenia, z odruchu, z gestu, z prostych, urywanych słów dopiero daje się odczytać prawdę uczucia.

Ta żadną przykrasą ani sztucznością nie ubarwiona prawda, która się dzieje wśród zdarzeń życia rzeczywistego, a więc, jak one, powszednia i zwykła — ta rzetelność widzenia staje się założeniem Kadena Bandrowskiego, którego trzyma się on konsekwentnie, płynąc wbrew fali, zrywając ostatecznie z wszelką manjerą, z wszelkimi „ostatnimi słowem” w literaturze, które zazwyczaj bywa najnowszą maską sztuczności. Ukazuje nam człowieka takim, jakim jest naprawdę, a jest on stworzeniem niezwykle złożonym i ciekawym — jeżeli umieć nań patrzeć. Staje się on — ten człowiek zwyczajny i codzienny — interesującym, mimo nikłości swego żywota, przez swą psychiczną przejrzystość, która pozwala w nim widzieć złożony ciekawy mechanizm duszy. Człowiek uczuciowy czy zwyczajny, subtelny czy pierwotny w swej naturze, lub mały, zaterany przez życie — każdy jest zarówno interesujący, o ile jest nam okazany w istotnym swem „życiu duszy”. Znużenie małością powstaje dopiero wówczas, gdy małość ta jest nam okazywana ze strony zewnętrznej, jako rodzajowy obrazek, gdy z protekcjonalną wyższością zaczynamy tworzyć szablon dusz małych i pierwotnych. Inaczej — gdy spojrzymy od wnętrza. Wówczas ta poprzeczna rzeczywistość zewnętrznej powłoki stanie się właśnie gwarancją rzetelności i szczerości odczucia.

Nie można nie podnieść tej żelaznej wielkiej pracy, jaką wkłada autor w swoje dzieło, by je podnieść do tej czystości tonu, tej szczytowości prostoty, jakiej wymaga takie wyrzeczenie się wszelkich efektów, wszelkich sztucznych ułatwień. Tak rzadko spotykamy się z „wielką sztuką”, z żelaznym twardym rygorem pracy, nieprzepuszczającym niczemu — że to niezwykle w Polsce zjawisko szczególnie podkreślić należy. Nietylko stworzył swój styl, lecz i wciąż go na nowo tworzył, przetwarzając, odrzucając wszelkie nawyki, nabyte przyzwyczajenia, osiągnięte sposoby — jest to heroizm artysty. Proszę mi pokazać, kto w Polsce tak potrafi nad sobą pracować, tak łamać się ze sobą, doskonalić kompozycję, styl, język. Jeżeli kiedykolwiek podejmie ktoś zadanie zobrazowania twórczości Kadena Bandrowskiego, będzie musiał stwierdzić ten olbrzymi przeskok po przez wszelkie próby manjery, to ustawiczne wyzwalanie się od samego siebie, od tego co już gotowe, nabyte, osiągnięte.

Podnieść będzie musiał bezwzględną *nowość* każdego dzieła, niespodzianą odmianę horyzontów, różnicę w ujmowaniu zjawisk. Będziemy mieli zresztą niejednokrotną możliwość stwierdzenia tego w dalszej bujnej twórczości Bandrowskiego.

Jan Dąbrowski.

Wierny uczeń Latinika.

Jest nim p. ppłk. Zdzlechowski, komendant szkoły podoficerów artylerji w Toruniu.

Poła do popisu umiejętnością i brutalnością à la Latinik dał mu bankiet pożegnalny w kasynie toruńskim, wydany przez korpus oficerski na cześć odchodzącego na inne stanowisko gen. Kaczyńskiego. Po bankiecie, w którym wzięły udział panie i oficerowie francuscy, część oficerów zorganizowała doraźny chór, celem odśpiewania piosenek żołnierskich. Wszystko szło gładko, dopóki śpiewacy nie przeszli do repertuaru legionowego, a mianowicie piosenki: „Naprzód drużyno strzelecka”. Oburzony bowiem takim występkiem ppłk. Zdzlechowski zerwał się na równe nogi i ostrym, podrażnionym tonem rozkazał śpiewającym opuścić salę kasyna. Wśród najwyższego zdumienia i oburzenia gości zirytowany dowódca na przyległym korytarzu wydał wyproszonym oficerom zakaz śpiewania zdrożnych, bo legionowych piosenek.

Jeden z potraktowanych w ten łście wersalski sposób oficerów złożył z tego powodu służbową skargę do obozu warownego Toruń. Czy p. minister spraw wojskowych nie zechciałby zainteresować się tą drobną, lecz charakterystyczną sprawą i przedsięwziąć środki zmierzające do radykalnego pouczenia różnych dygnitarzy wojskowych o zasadach przyzwoitości i dobrego wychowania?

WYSZŁA Z POD PRASY BROSZURA

p. t.

RZĄD CHJENO-PIASTA PRZED SĄDEM

zawierająca sprawozdanie z 11-stu procesów redaktora *Głosu Prawdy* o obrazę rządu Witosa, Seydy, Szeptyckiego, Kiernika, Kucharzkiego i Swolkienia.

Treść № 67-go: Z wzburzonych fal na stały ląd - *W. Stpiczyński*. — T zw. klęski socjalizmu - *Jan Gromtch*. — Denuncjacja jako system gen. Zagórskiego - *w. s.* — Praworządność p. Ratajskiego. — Aroganczy goście - *W. Stpiczyński*. — Blok „narodowy” wobec skarbu narodowego - *w. s.* — Niedopuczalna samowola P. K. O. - *w. s.* — Strony ujemne i dodatnie - *Edward Stoński*. — „Przymierze serc” - *Jan Dąbtowski*. — Wierny uczeń Latinika.

Warunki prenumeraty: Prenumerata miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3 złote. Zagranicą kwartalnie 5 złotych.

Konto czekowe w Pocztowej Kasie Oszczędności Nr. 3288.

Redaktor i Wydawca: **Wojciech Stpiczyński.**

Zakł. Graf. „DRUKARNIA BANKOWA”, Moniuszki 11.